

Oskarżam!

13 stycznia 2017

Rozmowa z Ewą Andruszkiewicz – emerytowaną dziennikarką. Zajmowała się reportażem społecznym w nieistniejącym już „Słowie Powszechnym”, „Rzeczpospolitej”, polskiej edycji „Elle”. Fascynuje się życiem zwierząt, wiedzę o nich upowszechniała w „Super Expressie” i „Focusie”. Od 2005 roku nie jest w stanie myśleć o niczym innym niż reprivatyzacja, którą boleśnie odczuła na własnej skórze. Píše książkę o tym, co przeżyły razem z Jolantą Brzeską i innymi osobami skupionymi wokół Warszawskiego Stowarzyszenia Lokatorów.

– Przypomnijmy Pani sprawę: w 2004 roku kamienica, w której Pani mieszkała, trafiła w ręce dawnego właściciela Jerzego Sułowskiego. Została Pani eksmitowana. Teraz mieszka Pani w domku w lesie kilkadziesiąt kilometrów od Warszawy. Ale na tym nie koniec – wytoczono Pani proces o odszkodowanie za zajmowanie lokalu w kamienicy bez stosownej umowy. Rzekomo jest Pani winna właścicielom tej kamienicy 100 tys. złotych. Wśród tych osób jest gwiazdeczka z TVN Małgorzata Ohme.

– Ewa Andruszkiewicz: Własność odzyskiwał Jerzy Sułowski w imieniu własnym oraz brata, który mieszka w Kanadzie. W tej chwili prowadzone jest dochodzenie w sprawie zwrotu. Na moją prośbę sprawdzała to już policja, ale nie chciano mi nic powiedzieć, poza tym, że były tam nieprawidłowości, ale uległy przedawnieniu. Nie wiem, jak to obecne władze potraktują – czy były przedawnienia w rozdawnictwie nieruchomości, czy też nie. Nie wiem, czy bratu pana Sułowskiego przysługiwało odszkodowanie w ramach umowy indemnizacyjnej (odszkodowawczej). Polska podpisała tę umowę z Kanadą w 1972 roku, to ostatnia umowa tego typu z wówczas podpisanych. Nie wiem, czy ten pan wyjechał z Polski do Kanady przed czy po 1972 roku – jeżeli po, to nic mu się już nie należało. W każdym razie ten człowiek udzielił pełnomocnictwa w sprawach nieruchomości swojemu bratu Jerzemu, mieszkającemu w

Warszawie. Ten z kolei dał pełnomocnictwo „mecenasowi” Krzysztofowi Ćwiekowi. To człowiek dobrze znany w Warszawie z przejmowania nieruchomości, nie jest żadnym mecenasem, prowadzi agencję nieruchomości i handluje mieszkaniami. Ale w tej sprawie występował jako „mecenas”. Zresztą Ćwiek pojawił się również w sprawie odzyskiwania kamienicy na Nowym Świecie 24, ale wówczas w charakterze adwokata na sali sądowej.

– A kto występował przeciw Pani w sądzie?

– Był to człowiek dobrze znany w świecie warszawskiej reprivatyzacji. Przedstawiający się jako książę, mecenas Hubert Massalski – to on reprezentował powoda w sprawie. W październiku 2015 roku doprowadziłam do tego, że policja przesłuchiwała wreszcie mojego przeciwnika procesowego, Jerzego Sułowskiego. Okazało się, że on w ogóle nie wie, że mi wytaczał procesy, nie ma wobec mnie żadnych roszczeń, nic nie wie o mojej sytuacji. A w Garwolinie toczy się postępowanie egzekucyjne i jest wyznaczony termin licytacji mojego domku w lesie, do którego się przeprowadziłam, gdy wyrzucono mnie z mieszkania w Warszawie z wyrokiem o treści: eksmisja bez prawa do lokalu socjalnego. Z przesłuchania wynikało, że Sułowski właściwie nie zna swoich pełnomocników, być może znał Massalskiego. Policjanci źle go przesłuchiwali. Sułowski unikał spotkania ze mną. Znalazłam go wreszcie w szpitalu: miał przyjść na przesłuchanie, ale nie przyszedł. Policjant zadzwonił do jego żony, a ta mówi, że mąż leży po zawale na Oddziale Intensywnej Opieki Medycznej w szpitalu na Banacha. Nie wytrzymałam, pojechałam tam. I teraz najciekawsze: w 2005 roku byłam na kawie z człowiekiem, który przedstawił mi się jako Jerzy Sułowski. To człowiek, który sprzedał wszystkie odzyskane lokale w kamienicy, gdzie mieszkałam. Ale w szpitalu nie leżał ten sam człowiek.

– To nie był on?

– Nie, to była podstawiona osoba. Przedstawiłam policji rysopis. A pan Sułowski, ten prawdziwy, nie leżał wcale na

OIOM-ie, lecz w Klinice Chorób Wewnętrznych Nadciśnienia Tętniczego i Angiologii. Wyglądał kwitnąco. Policja go później przesłuchiwała beze mnie, bo odpuściłam, przekazałam jedynie swoje pytania, które źle zadawali. Ale i tak wyszło, że on nie zna swoich pełnomocników, że nigdy nie był w notariacie, a powstało ponad dwadzieścia aktów notarialnych, w których pani notariusz pisze, że stawił się osobiście. Kto się stawił? Nie mam pojęcia – to wszystko jest nadal zagadką. Ale egzekucja komornicza mojego majątku trwa...

– Lokum, w którym mieszkała Pani w Warszawie, było w dyspozycji miasta.

– Tak. A przed wojną zostało sprzedane przez pierwotnego właściciela, zadłużonego w Banku Gospodarstwa Krajowego. Pod tym adresem odzyskano trzy mieszkania.

– Od razu podniesiono Pani czynsz?

– Tak, zresztą niezgodnie z prawem. Byłam jedyną osobą, która płaciła ten podniesiony czynsz. To nie było duże mieszkanie, niecałe 50 metrów kwadratowych. Nie należałam nigdy do ubogich. Całe życie byłam dziennikarką, pochodzę z dziennikarskiej rodziny. Mój mąż również był dziennikarzem, miał dobre zarobki jako kierownik działu w najpopularniejszym wówczas tytule prasowym. Kupienie tego mieszkania nie byłoby dla nas problemem. Ale nie dopięliśmy tej sprawy, brakowało a to czasu, a to jakichś dokumentów. Walka z handlarzami roszczeń i czyścicielami kamienic często dotyczyła ludzi ubogich, ledwo wiążących koniec z końcem, ale też z reguły uczciwych, którzy całe życie ciężko przepracowali. To były równocześnie osoby stare – byłam jedną z ostatnich, które podpisały umowę najmu w lokalach sprzed 1945 roku. Zdążyłam się zestarzeć do nowych wspaniałych czasów, a ci, którzy mieszkali w takich lokalach po 50–60 lat, byli jeszcze starsi ode mnie i zastało ich to w momencie, gdy nie mieli już żadnego wyjścia, żadnych perspektyw. Jeżeli sądy orzekały „eksmisję bez prawa do lokalu socjalnego” – tak jak było w

przypadku Joli Brzeskiej, która miała niewielką emeryturę i bodajże o 40 złotych przekroczyła limit ustalony dla wrażliwego lokatora – to gdzie się taki człowiek mógł podziać? To po prostu był dramat dla wielu ludzi i sporo osób tego nie przeżyło. Miałam wewnętrzną pewność, że dzieje mi się straszna krzywda, na którą nie zasłużyłam, ale było mnie stać, żeby płacić podwyższony czynsz. Oni mi go jeszcze dwukrotnie podnosili – płaciłam. W związku z tym mieli problem – żeby wyrzucić, trzeba udowodnić, że dana osoba jest zadłużona.

– A chcieli Panią wyrzucić?

– Im nie zależało na moim czynszu. Chcieli mnie wygnać, zależało im na mieszkaniu. To kolejny skandal, za który odpowiadają nasi ustawodawcy. Otóż osoby odzyskujące budynki są zwolnione z wszystkich opłat. Gdy zwykły człowiek uzyskuje w wyniku spadkobrania jakąkolwiek nieruchomość, to jeśli ją sprzeda w ciągu pięciu lat kalendarzowych, płaci 19 proc. podatku. Oni byli z tego zwolnieni, ponieważ – zgodnie z logiką ustawodawcy – zachowana została ciągłość własności. Widzi pan, co się dzieje? Nie płacą podatku od spadku, nie płacili podatku od sprzedaży – wystarczy „odzyskać” wiele lokali, sprzedać je dalej – co za zysk! Zależało im, żeby jak najszybciej sprzedać te mieszkania. U mnie to były bardzo okazyjne transakcje: moje lokum zostało sprzedane za 250 tys. zł, choć było warte 400–450 tys. złotych. Inne mieszkanie, 110 metrów kwadratowych, sprzedali za 450 tys. zł. Tak niskich cen na rynku nie było – chodziło o to, żeby te lokale upłynnić. W ten sposób „uwiarygodniano” takie mieszkania – bo nawet jeżeli z daleka widać, że zostało ono kupione w złej wierze, to ten problem jakoś się rozmywa.

– A co z lokatorami z dwóch pozostałych mieszkań?

– Lokatorzy z mieszkania na górze to byli dziwni ludzie, którzy za punkt honoru stawiali sobie za nic nie płacić. Dobrze na tym wyszli, bo dostali od nowych właścicieli 60 tys. złotych, żeby tylko się wynieśli. Co do mieszkania na dole, to

z nim się wiąże wręcz odwrotna, dramatyczna historia. Ojciec kobiety, która tam mieszkała, kupił je przed wojną od ówczesnego właściciela, Stefana Sułowskiego, ojczyma Jerzego Sułowskiego i jego kanadyjskiego brata. Ze względu na to, że na kamienicy ciążył dług, operacja została przeprowadzona „na lewo”, nie mogła zostać wpisana do hipoteki, gdyż rękę na pieniądzech od razu położyłby bank. Prawdopodobnie powstał jakiś akt notarialny, ponieważ nikt na gębę nie kupuje stu metrów mieszkania. Ta pani całe życie tam mieszkała przeświadczona, że jest u siebie. Nie wykupiła tego mieszkania po raz drugi. Mecenas Ćwiek od razu zabrał się za nią i jej męża: małżeństwo otrzymało ofertę, że jeśli się szybko wyprowadzi, to nowy właściciel nie podniesie czynszu i wypłaci im 75 tys. zł. Przystali na to. Ale ta kobieta tego nie przeżyła, umarła na serce, nie mogła uwierzyć, że to wszystko jest możliwe. Pamiętała, jak szła z matką, odprowadzały ojca, który jechał na dworzec z walizką pieniędzy.

– Czy szukała Pani wówczas wsparcia w instytucjach publicznych? Albo wśród ludzi, którzy mieli podobne problemy?

– Nie znałam wówczas takich osób. Z ruchem lokatorskim zetknęłam się dopiero w styczniu 2008 roku. Najpierw pisałam do prokuratur. Pierwsze zawiadomienie było o kradzieży księgi wieczystej z sądu w alei Solidarności – ale sprawa została umorzona. Gdy zapytałam, dlaczego, odpowiedziano mi, że nie jestem stroną w sprawie i nie przysługuje mi żadna odpowiedź. Nie znałam wtedy jeszcze swoich praw. Na dobre zaczęłam się tym wszystkim interesować właśnie w styczniu 2008 roku, gdy zjawił się w moim życiu książę mecenas Hubert Massalski, który zatelefonował pewnego ranka i przedstawił się jako pełnomocnik mojego ówczesnego sąsiada Piotra Porębskiego, fotografa celebrytów. Stwierdził, że podjął się mediacji między nami.

– A skąd ta gorąca potrzeba mediacji ze strony księcia mecenasa?

– Sprawdziłam już wcześniej w hipotece, jakie ruchy są

wykonywane w obrębie tej nieruchomości. Odkryłam, że jest wpis w dziale trzecim – ktoś podpisał przedwstępny akt kupna-sprzedaży mojego mieszkania. Znajomy adwokat ustalił, że to mój sąsiad podpisał ten akt notarialny. Gdy zadzwonił Massalski, powiedziałam, że nie wyświetlił mi się jego numer, poprosiłam o podyktowanie go, powtórzenie imienia i nazwiska. Dużą część pracy zawodowej poświęciłam na pisanie reportaży interwencyjnych – od razu siadłam do komputera i zaczęłam wyszukiwać informacje na temat mecenasa. Wtedy znalazłam opis próby włamania do mieszkania Joli Brzeskiej. Gdy zobaczyłam adres, Nabelaka 9, to wpadłam w panikę i bez śniadania tam pobiegłam, żeby powiedzieć, że mam do czynienia z tymi samymi ludźmi. Joli, której wtedy jeszcze nie znałam, nie było. Ale drzwi faktycznie zostały opalone. W końcu znalazłam numer telefonu stacjonarnego do niej, przechodziła wtedy ciężki czas, to było zaraz po śmierci jej męża, Kazimierza. I to Jola zaprosiła mnie na spotkanie ruchu lokatorskiego. Wówczas ja także byłam już sama, mój mąż zmarł wcześniej na raka mózgu. Sądzę, że cała ta sytuacja też się do tego przyczyniła, to był szok dla mężczyzny w wieku przedemerytalnym, całe życie ciężko pracującego, że nie zagwarantował swojej rodzinie dachu nad głową.

– Zakładam, że nowi właściciele nie ustawali w wysiłkach, aby również Pani pozbyć się z mieszkania.

– Dowiedziałam się, że nie odprowadzili ani złotówki z opłat, które wносиłam na poczet ogrzewania, wody itd. To mieszkanie było w ten sposób zadłużone na 6,5 tys. zł. Poszłam do administracji wyjaśnić tę sprawę i dowiedziałam się, że mecenas Massalski twierdzi, że nie płacę. Powiedziałam, że owszem, co miesiąc płacę tysiąc złotych. Byli w szoku, bo to była dwukrotność tego, co płaciła moja sąsiadka z dołu, która miała takie samo metrażowo mieszkanie i zdążyła je już wykupić. Dowiedziałam się przy okazji, że co roku mam ponad dwa tysiące złotych nadpłat za media. Także dlatego, że od czasu, gdy przyszedł do mnie mecenas Ćwiek i zamiast „dzień

dobry” stwierdził: „Pani mieszka w cudzym mieszkaniu”, wolałam żyć w domku poza Warszawą. Poza tym coraz bardziej się bałam. W każdym razie napisałam do właściciela dwa listy z prośbą o rozliczenie mediów, poczynwszy od 2004 roku. Napisałam trzeci list z informacją, że jeżeli znów mnie zlekceważy, to uznam to za zgodę na samodzielne rozliczenie tych spraw. Przestałam płacić, w sumie trwało to cztery miesiące. Wtedy dostałam rozwiązanie umowy najmu od... mojego sąsiada, Piotra Porębskiego, który poczuł się w prawie, rozwiązał cudzą umowę najmu i wytoczył mi proces o eksmisję. Gdy się wyprowadzałam w 2010 roku, on nadal nie był właścicielem, a mimo to przyszedł z komornikiem odebrać mieszkanie, chociaż jasno zadeklarowałam, że klucze oddam dobrowolnie – właścicielowi, do rąk własnych, nikomu innemu. Ale komornik przyszedł z Porębskim, a ten – ze ślusarzem. Stałam z kluczami, a ślusarz zmieniał zamek.

– Wówczas miała już Pani kontakt z ruchem lokatorskim.

– Tak, w 2008 roku byłam na pierwszym spotkaniu wypędzonych lokatorów. Dowiedziałam się, że jest więcej osób, w których życiu zjawił się Hubert Massalski. To było Krakowskie Przedmieście 35, Dahlberga 5, Jola z Nabelaka 9. Później pojawili się jeszcze państwo Święciccy, którzy mieszkali na Francuskiej 30. Wcześniej Jola od Marka Mossakowskiego, który był bardzo blisko zaprzyjaźniony z Massalskim, dostała ofertę, że ten da jej mieszkanie na Otwockiej. Zaczęliśmy zbierać dane, zgromadziliśmy kilkanaście adresów. Próbowaliśmy zainteresować różne organy władzy. W kwietniu 2008 roku napisaliśmy do Prokuratury Okręgowej w Warszawie doniesienie o zorganizowanej grupie przestępczej, która w dziwny sposób wchodzi w posiadanie nieruchomości w stolicy i prześladowuje mieszkańców. Prokuratura Okręgowa skierowała sprawę na Mokotów, policja przesłuchiwała mnie i Jolę. Gdy mieli wezwać kolejne osoby, dowiedzieli się, że Dahlberga to nie jest jednak Mokotów, ale Wola – i z przyjemnością to tam wysłali. Na Woli najpierw wysłano wezwania do wszystkich osób, które

wskazaliśmy, ale nikt nie przyszedł, więc prokurator sprawę umorzył – wezwani nie potwierdzili, że są zorganizowaną grupą przestępczą...

– To zaskakujące.

– Wówczas złożyliśmy zażalenie na postanowienie prokuratury. Odbyla się sprawa, młodziutka pani sędzia po przesłuchaniu Joli Brzeskiej stwierdziła, że przestępstwo może dotyczyć mienia o tak dużej wartości, że sąd rejonowy nie jest władny, aby rozstrzygać o takiej skali przestępstwa i skierowała to do sądu okręgowego w Warszawie, też do wydziału karnego. Czekaliśmy rok, zanim sprawa się odbyła. W międzyczasie, w 2009 roku, udało się przesłuchać Jerzego Sułowskiego, Marka Mossakowskiego i Przemysława Jaszke. Sąd orzekł, że prokuratura miała rację, umarzając sprawę. Uzasadnienie było bardzo długie, sędzina dostała je przed wejściem na salę, popijała wodę i aż się krztusiła, gdy to czytała. Na koniec powiedziała nam: „proszę państwa, ci ludzie są fachowcami i mają na swoje usługi fachowców, wy też musicie zatrudnić fachowców, którzy wam pomogą”. Uważam, że gdyby prokuratura okręgowa w 2008 roku na serio zajęła się naszym doniesieniem, to Jola Brzeska by żyła. To jest moje oskarżenie – uważam, że są współwinni temu, co się stało.

– Cóż, z jednej strony inercja instytucji (to w wersji optymistycznej), z drugiej – przedsiębiorczy ludzie, którzy „mają odwagę się bogacić”.

– W pewnym momencie zaczęłam liczyć: jest pan Sułowski i ktoś, kto prawdopodobnie się pod niego podszywał, jest pan Ćwiek, jest pan Massalski, jest wynajęta do zarządzania moim mieszkaniem pani Grażyna Wójcik, która koło Joli Brzeskiej wynajmuje biuro, jakby pilnowała zdobyczy Mossakowskiego, jest pani notariusz, która firmuje dziwne umowy notarialne. Pan wybaczy: pierniczą się ze mną przez pięć lat, z upierdliwą staruszką-emerytką, i zarabiają 250 tysięcy na sprzedaży mieszkania? Po 50 tys. złotych na głowę? 10 tysięcy złotych

rocznie na łebka? To co to jest za biznes? I wtedy przyszła mi myśl: oni mają jakiś inny interes w pozbywaniu się ludzi z przejętych domów. Niby odzyskali 1/3 nieruchomości, ale co z resztą? Co z mieszkaniem, które gmina sprzedawała lokatorom? Przecież w myśl świętego prawa własności też powinny im się należeć. Zaczęłam pytać, czy przypadkiem nie dostają odszkodowań za te utracone na zawsze lokale, a jeśli tak, to w jakiej wysokości. Ludzie pukali się w głowy, że bzdury opowiadam.

– Dziś to już tajemnica poliszynela.

– Długo po tym, jak zamordowano Jolę Brzeską, zadzwoniła do mnie Małgorzata Zubik z lokalnej „Gazety Wyborczej”. Chciała opisać moją sprawę. Akurat trwał proces, który mi wytoczono o odszkodowanie za bezumowne zajmowanie lokalu (gdy sąsiad rozwiązał ze mną umowę, to przez jakiś czas zajmowałam to lokum bezumownie). Powiedziałam do niej: „Nie chcę, żeby pani o tym pisała, niech pani napisze o czymś innym. Przecież my jesteśmy świetną zasłoną dymną dla prawdziwego draństwa”. Ona zapytała: „O czym pani mówi?”. No i tłumaczyłam jej, że wypędzonym lokatorom zabierany jest dobytek – przecież w substancję mieszkaniową inwestowaliśmy latami. W tym mieszkaniu, w którym żyłam, wszystko było moje: instalacje, kable, kaloryfery, rury w ścianach, które montowałam, armatura łazienkowa. I nikt z nami tego nie rozlicza, bo mamy oddać mieszkanie w takim stanie, w jakim ono było, gdy zapadła decyzja zwrotowa. Mówiłam Zubik, że prawdziwy interes polega na odszkodowaniach. Nie uwierzyła niestety. Minęły dwa tygodnie. W „Stołecznej” ukazał się jej wywiad z mecenasem Janem Stachurą, który opowiadał, że był dekret Bieruta, że się należą odszkodowania, że są zwroty w naturze. Zubik go spytała, czy kiedyś odzyskał jakieś pieniądze za takie sprzedane mieszkania. A on mówi, że wyjął z takiej kamienicy kilkanaście milionów złotych. Podobnie skrywana była wiedza o umowach indemnizacyjnych (odszkodowawczych). Myśmy z Jolą Brzeską wiedziały o tym w 2009 roku dzięki młodym ludziom. Ich

rodzice mieszkali w zwróconej kamienicy, więc wiedzieli, że przed wojną należała ona do osób, które wyjechały do Stanów Zjednoczonych. W pewnym momencie pojawili się osobnicy przedstawiający się jako następcy prawni – odkupili roszczenia. Nasi rozmówcy, zresztą pracownicy korporacji, zaczęli drążyć temat i na amerykańskich stronach rządowych znaleźli informacje o tym, że Polska podpisała ze Stanami Zjednoczonymi umowę indemnizacyjną. Pamiętam, że mieliśmy na ulicy Przemysłowej spotkania, które nazywały się Strona Społeczna. Przyszli ci młodzi ludzie i opowiedzieli nam o tym, mówili o ogromnych pieniądzach, które Polska wypłaciła w ramach odszkodowań indemnizacyjnych. Nie wiedziałyśmy, że z innymi krajami również podpisano takie umowy. Drążyłyśmy z Jolką temat, pisałyśmy pisma do władz. Ministerstwo Spraw Zagranicznych odpowiedziało, że nie ma żadnej wiedzy na ten temat. I tyle.

– To była cała wiedza, którą państwo polskie podzieliło się z wami na ten newralgiczny temat?

– W 2005 roku ustawą powołano do życia Prokuratorię Generalną, wzorowaną na tej przedwojennej, utworzonej przez Piłsudskiego. Jej zadaniem jest troska o interesy Skarbu Państwa. Pamiętam, że w tamtym czasie przeczytałam w „Rzeczpospolitej” wywiad z człowiekiem, który tworzył tę instytucję na nowo. Zaczęliśmy na ten temat rozmawiać w stowarzyszeniu, że może to właściwy adres, że może tam powinniśmy się udać. Mieliśmy przecież adresy kilkunastu nieruchomości odzyskanych przez tych samych ludzi. A skoro te nieruchomości są własnością Skarbu Państwa, to może Prokuratoria się tym zainteresuje. Któraś z nas była tam – nikt nie chciał rozmawiać.

– Dlaczego?

– Tłumaczono, że to podlega bezpośrednio Ministrowi Skarbu, którym był wtedy Aleksander Grad. Napisałyśmy z Jolką pismo do niego, z prośbą o skierowanie sprawy do Prokuratorii Generalnej jako instytucji, której urzędnicy mają status

prokuratorów i badają wszelkie sprawy związane z interesami Skarbu Państwa. Minister Grad nie odpowiedział nam przez dwa miesiące, więc Piotr Ciszewski wysłał ponaglenie. I znów – cisza przez dwa miesiące. Piotr usiadł i napisał pismo do Grzegorza Schetyny, wówczas Ministra Spraw Wewnętrznych i Administracji. Dostaliśmy w dwa tygodnie odpowiedź, że minister Grad ustawowo ma 30 dni na udzielenie nam odpowiedzi. Dołączyliśmy to pismo od Schetyny i znów wysłaliśmy list do Grada. Do dziś nie dostaliśmy odpowiedzi. Mam podejrzenie, że nad tym wszystkim był rozłożony rządowy parasol ochronny, parasol politycznego establishmentu. A pod nim, co dziś już widać choćby z warszawskiej mapy reprivatyzacyjnej, było całe mnóstwo powiązanych ze sobą ludzi.

– Porozmawiajmy jeszcze o pierwszych latach stołecznego ruchu lokatorskiego. Jak je Pani wspomina?

– Rozmawiałam o tym niedawno z Janem Śpiewakiem. Mówiłam mu: wy wszyscy, którzy dziś zajmujecie się aferą reprivatyzacyjną, jesteście dziećmi Joli Brzeskiej. Na pewno ważnym momentem była próba włamania do mieszkania Brzeskich, podjęta przez Mossakowskiego i Massalskiego i ich bandę w lipcu 2007 roku. Kazimierz Brzeski, mąż Joli, bardzo to przeżył i postanowił coś z tym zrobić. Zaczął studiować przepisy dotyczące organizacji pozarządowych, żeby stworzyć stowarzyszenie, do którego mogliby przychodzić wypędzani lokatorzy. Poznał grupę anarchosyndykalistów i socjalistów, był w tym gronie Piotr Ciszewski, do dziś prezes Warszawskiego Stowarzyszenia Lokatorów, był tam Andrzej Smosarski. Kazimierz spostrzegł, że lokatorzy, którzy sami borykają się z bandytami wchodzącymi z buciorami do naszych domów i mówiącymi, że mieszkamy w cudzych mieszkaniach, nie mogą reprezentować swoich interesów. Także dlatego, że są niewiarygodni, gdy mówią o własnych problemach. Potrzebny był ktoś, kto sam nie ma podobnych kłopotów, ale widzi, że ludziom dzieje się straszna krzywda i jest gotów ich reprezentować. Tak powstało WSL, które zarejestrowało się w 2007 roku. Później zaczęły się tworzyć inne ruchy. Piotr

Ikonowicz, który jest świetnym mówcą i ma za sobą przeszłość parlamentarną, otworzył Kancelarię Sprawiedliwości Społecznej. Później powstał Komitet Obrony Lokatorów, a po zabójstwie Joli włączył się Kolektyw Syrena, oni to strasznie przeżyli. Syrena w większym stopniu kładzie nacisk na problemy systemu polskiego mieszkalnictwa. Powiedzmy też sobie szczerze, choć bez żalu do nikogo: dużo ludzi przez te wszystkie lata przychodziło do ruchu lokatorskiego po doraźną pomoc – ale znikali, gdy ją otrzymali. Tym bardziej znikali, gdy jej nie otrzymywali.

– Pisaliście w tamtych latach do Rzecznika Praw Obywatela w sprawie wypędzonych lokatorów?

– O! Wymieniłam obszerną korespondencję jeszcze z Januszem Kochanowskim, tym RPO, który zginął w Smoleńsku. W końcu „wypowiedziałam mu pracę”, żeby broń boże nigdy nie występował w moim imieniu. A zaczęło się niewinnie. Napisałam do niego, podpierając się tym, że dzierżawcy mają prawo pierwokupu – chodzi o ochronę ich interesów. Uznałam, że sprawiedliwiej byłoby, gdybyśmy jako długoletni najemcy, wywiązujący się ze swoich zobowiązań, mieli to prawo. Rzecznik Kochanowski odpowiedział, powołując się na Konstytucję, że jest święte prawo własności i że to ograniczałoby prawa właścicieli do swobodnego dysponowania nieruchomością. Później była prof. Ewa Lipowicz, która rozpoczęła urzędowanie od złożenia deklaracji podczas zaprzysiężenia w Sejmie, że będzie chciała pomagać przede wszystkim ludziom starszym, którzy są źle traktowani przez polskie prawo i nie ma żadnego programu ich aktywizacji. Ja w to wszystko, jak idiotka, uwierzyłam. Śmialiśmy się później, że gdy przychodzi taki Mossakowski do naszych domów i mówi „wynocha z mojego mieszkania!”, to nie ma lepszego programu aktywizacji. Staruszki dostają takiego napędu... [śmiech]. Pisałam do prof. Lipowicz, gdy już mój wyrok o eksmisji był prawomocny. Dostawałam odpowiedzi, że absolutnie nic mi się nie należy, wszystko jest zgodnie z prawem. Pisałam o pomoc w kasacji mojego wyroku zarówno do RPO, jak i do

ówczesnego prokuratora generalnego Andrzeja Seremeta, który odpowiedział mi, że nie są władni. Nieprawda, dwie osoby w Polsce mają takie uprawnienia: RPO i prokurator generalny. Odnoszę wrażenie, że Adam Bodnar jest pierwszym RPO, który w ogóle zainteresował się tą sprawą, ale ja już nie mam siły się do niego zwracać.

– To brak nadziei?

– Wie pan, jakie to są potężne emocje? A przecież nie dotyczą tylko mnie. Byłam eksmitowana jako samotna osoba. Mój syn mieszka w Anglii, przyjechał trochę wcześniej, pomógł mi likwidować to mieszkanie. Rozmontowywał coś w swoim pokoju, poszłam pakować rzeczy z kuchni, nagle poczułam, że u niego panuje wielka cisza. Poszłam tam – płakał przy biurku, drżały mu plecy. Powiedziałam mu: nie rozklejaj się, bierz młotek i łom, do roboty! A on, że całe jego życie jest w tym pokoju. To było strasznie smutne [milczenie]. Zadzwoiłam wtedy do Piotra Ikonowicza z pytaniem, czy pomoże: nigdy nie byłam eksmitowana, nie wiedziałam, jak to wygląda, nie wiedziałam, jak się zachowa komornik – sprawiał miłe wrażenie, ale nigdy nie wiadomo. Chciałam, żeby ktoś obok mnie był. Piotr zapytał, czy chcę blokady eksmisji. Powiedziałam, że absolutnie nie! Skoro mam eksmisję wyznaczoną na 15 września i zrobimy blokadę, to komornik przyjdzie za dwa tygodnie z ekipą antyterrorystyczną. Tylko koszty będę miała większe, bo jeszcze za tę brygadę będę musiała zapłacić. Piotr jednak nie znalazł czasu, ale był ze mną Janusz Baranek z WSL, któremu zawsze będę za to wdzięczna. Wiedziałam, że musi być ze mną jakiś facet i faktycznie, bronił mnie jak lew. Byłam przekonana o swojej niewinności, o tym, że jestem ofiarą oszustwa. Nie mogłam się załamać – musiałam dalej walczyć. Ale byliśmy całkowicie bezradni i nikt z reprezentantów państwa polskiego nam nie pomógł.

– Mam silne wrażenie, prowadząc tę rozmowę, że tym, co Panią odróżnia od wielu wyrzuconych lokatorów, jest zdolność opisanie tej sprawy. I że to jest bardzo ważne, bo umożliwia

Pani zabranie głosu, wyartykułowania swoich racji, nagłośnienie ich – dobitne, ale też bardzo racjonalne.

– ...umiejętność pisania, to też bardzo ważne. Wczoraj ponownie rozmawiałam z kobietą, która dwa miesiące temu została zmuszona do opuszczenia kamienicy należącej przed wojną do państwa Pahlów. Witold Pahl to nowy wiceprezydent Warszawy. Hanna Gronkiewicz-Waltz, ogłaszając tę nominację, stwierdziła, że to człowiek, który nie ma nic wspólnego z reprywatyzacją, bo pochodzi z Gorzowa Wielkopolskiego. Dziesięć minut po tym, jak pani prezydent wystąpiła w telewizji, miałam telefon od kobiety, która mi mówi: „właśnie wyleciałam z kamienicy, która należała do rodziny Pahlów, oni pochodzili z Włocławka, to jest ta rodzina. Sama oddałam klucze do mieszkania, bo bałam się komornika”. Pytam ją, kto to odzyskał: Pahl? Spadkobiercy? Następcy prawni? Ona mówi, że nie wie. Poradziłam jej, żeby napisała do prokuratury, zgłosiła sprawę. Zmartwiła się, że nie umie tego napisać, zrezygnowała, choć obiecałam jej, że to zredaguję. Minęły dwa miesiące – nie napisała. Takich osób było i jest wiele. Wielu ludzi nie tylko nie umiało napisać listu do urzędników. Wstydzili się też komorników. Przecież dla zwykłego człowieka, który uczciwie się prowadzi całe życie, nie robi machlojek, nie żyje z przekrętów, wizyta komornika to wielki lęk. Ja się nie pierniczyłam. Pisałam do wszystkich: trzech prezydentów Polski – Kwaśniewskiego, Kaczyńskiego, Komorowskiego, trzech albo czterech ministrów sprawiedliwości. Napisałam do premiera Donalda Tuska, który mnie odesłał do Ministerstwa Pracy, żebym tam szukała pomocy społecznej. A ja już byłam na emeryturze i nie interesowało mnie ministerstwo pracy, a pomocy społecznej nigdy nie potrzebowałam i mam nadzieję, że nigdy nie będę potrzebowała.

– Ale i Panią ekipa od odzyskiwania kamienic wydrenowała z majątku...

– Mówiłam o komornikach i wstydzie. Wie pan, w jaki sposób odbierano nam godność? Między innymi przez generowanie strasznych długów – w różny sposób. Najczęściej prowadziło do

nich rozwiązanie umowy najmu komunalnego: z kilkuset złotych czynsze rosły do trzech tysięcy. Mossakowski już w 2008 roku na Krakowskim Przedmieściu liczył sto złotych za metr kwadratowy w ramach czynszu. Poza tym to było tak obliczone, żeby nasze długi przechodziły na nasze dzieci i chyba nawet wnuki. Mój syn, który nigdy nie mieszkał u żadnych panów Sułowskich, był na wszystkich ogłoszeniach wyroków, bo odpowiada ze mną solidarnie za długi. Straszna o to prowadziłam wojnę: udowodniłam w sądzie, że to roszczenie, które mają wobec mnie – tj. odszkodowanie za bezumowne zajmowanie lokalu przez półtora roku, bo sąsiad, który nie był stroną mojej umowy, według sądu rozwiązał ją skutecznie – nie może obejmować mojego syna, który w 2006 roku na stałe wyjechał do Anglii: miałam na to dokumenty z jego uczelni, wyciągi bankowe, ponieważ dostał kredyt na studia, przyznawany osobom, które jakiś czas już tam przebywają. Lecz sąd stwierdził, że on, owszem, mieszkał w Anglii, ale na Dąbrowskiego 18 w Warszawie było centrum jego aktywności życiowej... To samo było przecież z córką Joli Brzeskiej. Mossakowski ciągał ją po sądach ze trzy lata po tym, jak zamordowano jej matkę; udowadniał, że ona jest mu winna bodajże 80 tys. złotych.

– Chodziła Pani na te jej procesy?

– Zasada była taka, że uczestniczymy nie tylko w swoich procesach, ale też w rozprawach innych osób. Po pierwsze po to, żeby dodawać sobie nawzajem otuchy, po drugie, żeby uczyć się obyczajów panujących na sali sądowej. Przecież myśmy nigdy w życiu nie chodzili po sądach. Nagle okazało się, że chodzimy tam jak do pracy. I trzecia rzecz: chodziliśmy tam, żeby patrzeć sądowi na ręce. Kiedyś sędzina spytała Jolę Brzeską: „Państwo się przyjaźnicie ze sobą, chyba się długo znacie?”. A Jolka jej na to, że nie, że poznaliśmy się, bo mamy wspólnych przeciwników. Coś jest na rzeczy – wiele przyjaźni powstało dzięki tym łajdakom.

– A jak się skończyła sprawa z długami i synem?

– Wspomniałam już, że pisałam sporo listów. No to napisałam do Anny Komorowskiej – rozpaczliwy list zdesperowanej matki. Trochę w stylu naiwnej idiotki: że od lat walczę z mafią, a to jest tak silna mafia, że nawet jej mąż nie dałby rady. Napisałam, że szukam zrozumienia u kobiety, która jest dla mnie ideałem Matki Polki. Że dopóki walczyłam sama, to walczyłam na własny rachunek. Ale teraz zabierają się za moje dziecko. A ja jestem matka-kocica i oczy wydrapię. I oświadczam, że jeżeli zbliżą się na odległość strzału – to było bardzo wyważone przeze mnie ze względu na upodobania myśliwskie męża adresatki [śmiech] – to zabiję. Dostałam odpowiedź z Kancelarii Prezydenta RP Bronisława Komorowskiego, że skierowali sprawę bodajże do prokuratora generalnego i do prezesa sądu okręgowego w Warszawie. Nie wiedziałam, czy chodzi o to, żeby ukarać mnie za groźby karalne, czy o coś innego. Podczas apelacji, gdy byłam sama, bo wszyscy moi adwokaci byli przez tamtych zastraszani, pani sędzia stwierdziła, że skoro mój syn tam nie mieszkał, to nie może płacić moich długów. Trzy lata trwał ten proces.

– Pani się czasem śmieje, gdy to opowiada. Ale wyobrażam sobie, że wtedy nie było Pani do śmiechu.

– To był bardzo ciężki klimat. Czuliśmy się osaczeni. A później zostałam sama. Odkryłam, że kradną mi korespondencję ze skrzynki pocztowej. Miałam podejrzenia, że włamują mi się do komputera. Próbowali wdrzeć się do mieszkania [głos się załamuje]. Wiedziałam od Joli, że trzeba się twardo postawić w takiej sytuacji. Wzywałam policję, bez przerwy trzeba było coś zgłaszać. Wszelka pomoc była doraźna – policja przyjeżdżała, pukała, czy może wejść... Gdy teraz to opowiadam (piszę też książkę na ten temat), to mimowolnie się śmieję, żeby to wszystko jakoś odreagować. Nawet mój adwokat przeszedł na ich stronę – dziś występuje jako pełnomocnik tych, którzy odzyskują kamienice. Zresztą przyszedł do mnie i uczciwie powiedział: „Pani Ewo, ja już nie mogę pani bronić”.

– Z tego, co Pani wspominała, na emeryturze chciała Pani pisać

pogodne teksty o zwierzętach.

– Ale dziś mieszkam w domku w lesie, który też chcą mi odebrać spadkobiercy pana Sułowskiego i nie jestem w stanie pisać o niczym innym niż reprivatyzacja. Napisałam na ten temat parę tekstów pokazujących rzecz z różnej strony, ale przez lata nikt tego nie chciał. Pamiętam, jak opisałam moją eksmisję w sposób bardzo zabawny, chociaż nie było z czego się śmiać. Zaczęłam to leadem: „Wygonili na ulicę razem ze starym, kalekim psem. A przecież ustawa o ochronie praw zwierząt zabrania takiego traktowania psów” [śmiech]. Wysłałam to do „Polityki”, wysłałam do „Rzeczpospolitej”, w której kiedyś pracowałam, w parę innych miejsc. Wydrukowała w końcu „Angora”, nawet bardzo dobrze zapłacili. Później, po morderstwie Joli, „Angora” sama się do mnie zwróciła z pytaniem o tekst na ten temat. „Przegląd” też brał artykuły – ale tylko o Joli, innych reprivatyzacyjnych nie chcieli. Próbowałam do polskiego „Le Monde Diplomatique” napisać tekst o ofiarach śmiertelnych dzikiej reprivatyzacji. Było przecież wiele takich przypadków: ludzie się wieszali, mieli wylewy, ataki serca. Nie wydrukowali. Chyba mi nie uwierzyli.

– Zwykle to są opowieści bez imion i nazwisk.

– Chce pan nazwisko? Andrzej Karwowski, trener jeździectwa, sam był jeźdźcem wiele lat, bardzo schorowany, miał rentę inwalidzką, z trudnością się poruszał. Miał mieszkanie komunalne w kamienicy podarowanej „Solidarności”, niedaleko Uniwersytetu Warszawskiego. Oni tę kamienicę sprzedali, nowy właściciel wygonił go do kotłowni.

– K...

– W kotłowni na ogół urzędują dzikie koty, więc on jak ten dziki kot. Stamtąd też go mieli wyrzucić, ale nie zdążyli, bo umarł. No, ale nie chcieli mi tego wydrukować w „Le Monde Diplomatique”. Mój tekst o złotych sztabkach, czyli o tym, że nad wieloma kamienicami przed wojną ciążyły hipoteki bankowe,

wreszcie został wydrukowany kilka miesięcy temu. Ale wcześniej przeleżał u mnie dwa lata, wędrował po wielu redakcjach. W „Rzeczpospolitej” stał na kolumnie, ale radca prawny powiedział, że redakcji nie stać na procesy. Tam nie było żadnego powodu do procesu! Opisywałam mechanizm tego, jak zostały umorzone przedwojenne długi na przykładzie własnej kamienicy, bo jej historię najlepiej znałam. Było tam o tym, jak Stefan Sułowski kupił za własne pieniądze działkę, żeby wybudować kamienicę czynszową, na którą zaciągnął dług w Banku Gospodarstwa Krajowego. Pisałam, że ta hipoteka przeszła po wojnie do Skarbu Państwa, że później dewaluacja sprawiła, iż z 36 tys. złotych przedwojennego długu zrobiło się 10 groszy.

– Chyba można zaryzykować tezę, że środowisko dziennikarskie zawiodło w tej sprawie?

– Media nie chciały o tym wiedzieć. Większości nic to nie obchodziło.

– Przepraszam, nie chcę zabrzmieć bezczelnie, ale czy Pani zainteresowałaby się tymi sprawami, gdyby nie własne doświadczenia?

– Chyba nie... Często posługujemy się stereotypami. Trudno uwierzyć w to, co nas spotkało. Tak wyrzucić ludzi na ulicę? Bezpodstawnie? Niemożliwe! Na pewno byli winni! Gdybym nie poznała problemu od podszewki, też bym pewnie nie wierzyła w opowieści o arystokratycznych mecenasach i mafiach na Mazowszu. W 2008 roku mieliśmy happening na Nowym Świecie – zrobiliśmy Centrum Wypędzanych. Janusz Baranek zbudował stoisko z naszymi ulotkami, staliśmy z transparentami: „Lokatorzy to nie towar” itp. Mój pies miał własny plakat: „Mam prawo do budy, żądam budy dla mojej pani”. Zrobiliśmy wesołą imprezę. Ale co pewien czas napadali na nas młodzi ludzie, którzy mówili, że mają kredyty na mieszkania i ubliżali nam, mówiąc, że za friko chcemy żyć w cudzych lokalach. Nawet gdy opowiadałam moim dobrym znajomym o wszystkich tych mechanizmach, które dziś już dobrze znamy, to

przez całe lata nikt mi nie chciał wierzyć. Znajomi dziennikarze mówili, że nic nie mogą, że to nie do uwierzenia.

– Ja nie wierzę, że oni nie wierzyli. Chcieli mieć święty spokój.

– Możliwe... Gdy tylko wyprowadziłam się do lasu, nabrałam dystansu do Warszawy. W pewnym momencie doszłam do wniosku, że stolica znajduje się pod okupacją oszustów, którzy uwłaszczają się na cudzym. Dzwoniła do mnie koleżanka mojego syna, mówiła, że mieszka na Tamce, ma własnościowe mieszkanie, z którego chyba zaraz wyleci, ponieważ firma Feniks przejęła tę kamienicę, wywaliła wszystkich „komunalnych”, podkupiła jakąś rodzinę, żeby mieć ponad 50 proc. udziałów. A jeśli mają większościowe udziały w nieruchomości, to rządzą: zmieniają zarządcę nieruchomości, a ten nie podpisuje umów z wodociągami, energetyką, ciepłownikami. Najpierw odłączają prąd, później wodę, wreszcie ogrzewanie – odbywa się takie samo czyszczenie jak w kamienicach, które były w całości komunalne. A do tego podnoszą fundusz remontowy, który robi się naprawdę słony. Pamiętam, jak Jolka w sierpniu 2010 roku, pół roku przed morderstwem, taka radosna przybiegła na zebranie stowarzyszenia i wymachiwała kartką, że ma orzeczenie o niepełnosprawności. Wierzyła, że będzie ją to chroniło, wtedy faktycznie jeszcze niepełnosprawnych nie wyrzucali na bruk. Później nawet ludzie na wózkach inwalidzkich trafiali na ulicę...

– Koszty budowy kapitalizmu wciąż rosną.

– Na Wilczej albo Nowogrodzkiej była taka historia, że dzieci poszły do szkoły, żona pojechała do pracy, mąż został w domu. Właśnie wymieniono im okna na plastikowe, już po przejęciu kamienicy. Gdy żona wróciła do domu, to mąż wisiał na tych nowych oknach, na pasku się powiesił. Zostawił list, że się nie sprawdził jako mężczyzna. Po dramacie, który się tam rozegrał, lokatorzy kamienicy dostali mieszkania komunalne. Ale tylko tam, w innych kamienicach było jak wcześniej. W

naszym stowarzyszeniu była kobieta, Wanda, której mąż chorował na raka kości, miał przerwany rdzeń kręgowy, bo to była jedyna metoda, żeby tak strasznie nie cierpiał. Leżał sparaliżowany w łóżku. Sąd wydał wyrok: eksmisja – choremu na raka mężowi przysługuje lokal socjalny, a Wandzie nie przysługuje. Sąd ich rozwiódł!

– Rozumiem, że sąd go skazał na wszelkie upodlenie.

– To trwało, a w końcu łaskawie przyznano im jako małżeństwu lokal socjalny. Lokal socjalny różni się od komunalnego. Gdy Hanna Gronkiewicz-Waltz niedawno opowiadała, jak to pomagała lokatorom wrażliwym, to nie potrafiła nawet odróżnić mieszkania socjalnego od komunalnego. Telepało mnie, jak jej słuchałam. Lokator wrażliwy, jeśli miał do czegoś prawo, to do lokalu socjalnego, który ma zupełnie inny status – podpisuje się umowę na czas określony. Mało tego – to jest mieszkanie kontrolowane przez różne służby socjalne, nie można nim dowolnie dysponować. Kolejny przykład: Wanda Pradzioch. Mieszkała w lokum komunalnym, które wróciło do faktycznych właścicieli. Długo czekała na inny lokal komunalny. W momencie, gdy zapadł wyrok „eksmisja do lokalu socjalnego”, wykreślili ją z kolejki komunalnej... Ona do dziś walczy o to lokum, sąd administracyjny przyznał jej rację. Ale co z tego?

– To będzie naiwne pytanie: wie Pani, jak to wyglądało z drugiej strony? Jak postrzegała was tamta strona?

– Tamci ludzie mieli nas za nic, za śmieci. Myślę, że sądy też. I inne instytucje. Przez te wszystkie lata, w czasie tych wszystkich procesów, ani razu nikt nigdy mnie nie zapytał, czy mam się gdzie podziać. Nie interesowało to ani sędziów, ani pani radcy prawnej urzędu dzielnicy Warszawa-Mokotów, która ani razu nie przyszła jako interwenient uboczny na proces. Za to przysłała pismo, że po zapoznaniu się z aktami sprawy stwierdza, iż eksmisja jest zasadna i urząd prosi o nieprzyznawanie prawa do lokalu socjalnego. Nikt nie przyszedł spojrzeć mi w oczy, zapytać, czy się boję, gdzie się podzieję.

To wszystko w sytuacji, gdy mój były sąsiad, który już czuł się właścicielem mojego mieszkania, krzyczał do mnie: „wypierdalaj, ty kurwo, bo ci przypierdolę”.

– Od zawsze słyszę od ludzi, którzy uważają, że się mylę w sprawach lokatorów i reprivatyzacji, że wygnani z „odzyskanych” mieszkań to żule. Dziś siedzę przed Panią, dziennikarką...

– ...z czterdziestoletnim stażem. Myślę czasem, choć może to dziwne, że było potrzebne, żebym znalazła się w tym wszystkim, ponieważ potrafię o tym opowiadać. Mam nadzieję, że skończę wkrótce moją książkę. To bardzo osobista rzecz o tym, co mi się zdarzyło. Dużo tam jest o Joli Brzeskiej, o tym, jak dochodziłyśmy do całej tej wiedzy, jak szukałyśmy w prasie wielu informacji, jak chciałyśmy zrozumieć, co się dzieje. Do dziś nie rozumiem, czemu pan Sułowski, jego córki i wdowa po nim dalej mnie prześladują, wciąż żądają licytacji mojego domku w lesie. Moim zdaniem ta rodzina nic z tego nie miała. Może poprosili o pomoc specjalistów od odzyskiwania mieszkań, w tym mecenasa Ćwieka, i nie wiedzieli, z czym to się wiąże. Bodaj wczoraj Jan Śpiewak dołączył do swojej mapy reprivatyzacyjnej notariusza Piotra Sicińskiego. Pomyślałam: skąd ja znam tego człowieka? Sięgnęłam do aktu notarialnego – żaden notariusz nie chciał tego podpisać, a on podpisał.

– To może sprawdźmy od razu na mapie, kto to pan Siciński: „Notariusz, były sędzia, szef wydziału ksiąg wieczystych Sądu Rejonowego dla Warszawy-Mokotowa X Wydział Ksiąg Wieczystych. Począwszy od czerwca 2005 roku, prowadzi Kancelarię Notarialną w Warszawie, specjalizując się w obrocie nieruchomościami. Przez jego kancelarię przewinęły się jedne z największych transakcji nieruchomościowych w stolicy. Oskarżany przez Zarząd Wspólnoty przy Wspólnej 54 o działania niezgodne z prawem i na szkodę wspólnoty”.

– Człowiek powiązany z Marzeną K., urzędniczką Ministerstwa Sprawiedliwości.

– Spójrzmy: „Urzędniczka Ministerstwa Sprawiedliwości w Departamencie Współpracy Zagranicznej i Praw Człowieka. Siostra mec. Nowaczyka, z którym prowadziła wspólne interesy na rynku nieruchomości. W ciągu ostatnich 5 lat w ramach odszkodowań reprivatyzacyjnych otrzymała od M. St. Warszawy kwotę 38 mln zł. Jest też współwłaścicielką zreprivatyzowanej kamienicy przy ul. Odolańskiej 7. Była właścicielką Mokotowskiej 63”.

– Ta sama pani K. odpowiadała za... program pomocy dla osób pokrzywdzonych przestępstwem. Ilu ludzi ona pokrzywdziła! Miasto Jest Nasze wykonało pracę, za którą nikt nie chciał się wziąć. Gdy obecnie piszę teksty o reprivatyzacji, to urzędnikom Ministerstwa Sprawiedliwości trzeba tłumaczyć sprawy na poziomie wiedzy studentów pierwszego roku prawa. Jak pan wie, pani prezydent zapowiedziała, że dalszych zwrotów nie będzie, a sprawy się toczą (wiceprezydent Pahl wczoraj stwierdził, że ależ skąd, zwroty będą następować). Gdy Hanna Gronkiewicz-Waltz mówiła, że wstrzymuje te zwroty, to w sądzie okręgowym w Warszawie toczyła się sprawa czteroosobowej rodziny z ulicy Schroegera 72. Co ważne, decyzją ministra Ziobry, kwestia zwrotu tej kamienicy trafiła do wrocławskiej prokuratury. Tam kierowano sprawy, w których istnieje podejrzenie przestępstwa w wyniku porozumienia handlarzy roszczeń z urzędnikami.

– I co z tą czteroosobową rodziną?

– Jak wy to mówicie w „Nowym Obywatelu”? Klasyk, panie Krzysztofie – czteroosobowa rodzina, w tym jedenastoletnie dziecko, eksmisja bez prawa do lokalu socjalnego. Mijają trzy dni – w sądzie rejonowym Warszawa-Śródmieście zapada kolejny wyrok: na starszego, schorowanego pana, eksmisja bez prawa do lokalu socjalnego. Na czyją korzyść? Spółki-córki Feniksa. Nic się nie zmienia. To wszystko trwa... 12 maja 2015 roku zapadł w Trybunale Konstytucyjnym wyrok, który mówi, że artykuł 156 paragraf 2 jest niezgodny z Konstytucją. Wszystkie zwroty, jakie się odbyły w Warszawie w ciągu ostatnich lat,

przeprowadzono na podstawie tego właśnie artykułu i paragrafu... Czarno to widzę, tego będzie tak dużo, że nie sposób ogarnąć całości.

– Władze Warszawy same już zgłosiły około 5 tysięcy przypadków nieprawidłowości. Jedna z interpretacji mówi, że chodzi o zapchanie „kanałów drożnych” odpowiednich instytucji.

– Patrząc dziś z perspektywy tych sześćdziesięciu kilometrów od Warszawy i mówię: nikt nie może się czuć w tym mieście bezpieczny, ani lokator komunalny, ani socjalny, ani właściciel hipoteczny – są instrumenty prawne i nie tylko takie, żeby każdego wysiudać. Ludzie, którzy się na tym dorabiają, nawet gdy ktoś pogrozi im paluszką, to z głodu nie umrą. Myśmy przez lata nie znali podstawowych aktów prawnych, które odpowiadały za mechanizm narastającej grabieży. Dziś pojawiają się już głosy, że to, co się stało w ostatnich latach, wygenerowało większe krzywdy niż dekret Bieruta. W przypadku tego dokumentu właściciele mieli wpisane w księgach wieczystych prawo dożywocia. Było takie zabezpieczenie, którego nie mają dzisiejsi lokatorzy, a przecież wnieśli wiele pieniędzy i pracy w utrzymanie tych lokali. Lokatorzy zostali wystawieni na ulicę. Książę mecenas Massalski starał się o Krakowskie Przedmieście 65. Bardzo ładna okolica: z okien widać Kolumnę Zygmunta, kościół świętej Anny. W trakcie tych procedur zwrotowych okazało się, że w 1945 roku, gdy bardzo pośpiesznie odbudowywano Trakt Królewski, tę kamienicę posadzono na dwóch posesjach. Jedna połowa należała do jakichś Massalskich (to nie jego rodzina), a druga – do kogo innego. Przy tej okazji kogoś olśniło, że ta kamienica została odbudowana po wojnie! Co za odkrycie, przecież cały Nowy Świat został odbudowany! Miasto zażądało od Massalskiego dwóch milionów złotych odszkodowania za ten dom. To śmieszne pieniądze. To, co widzimy z ulicy, to fasada wąskiej kamieniczki. Ale w środku jest coś przepięknego – oficyny, które idą aż do ulicy Koziej, mają przepiękne łuki. Ale Massalski nawet tych dwóch milionów nie zapłacił, bo

uważał, że jemu się należy. A czemu nikt nie bada, ile kosztowały roboczogodziny mojej matki, która społecznie odgruzowywała rynek Starego Miasta? Ilu ludzi pracowało, żeby to miasto powstało z ruin? A dziś przychodzą jakieś typy i biorą jak swoje! I to nie spadkobiercy, tylko następcy prawni.

– Zabójstwo Jolanty Brzeskiej wywołało strach czy wściekłość w środowisku lokatorskim?

– Pamiętam wściekłość. Ale też pół roku bez snu. To była moja pierwsza zima w lesie. Jolkę wywieźli do lasu i tam spalili. Mnie nawet nie musieliby nigdzie wywozić, wystarczyłoby podpalić drewniany domek. Wyobraźnia pracowała non stop, całą dobę. A w nocy, co przymknęłam oczy, to blask bijący od kominka stawiał mnie na równe nogi. Widziałam przerażoną twarz Joli wyłaniającą się z płomieni. I nie pomagało to, że policja na moją prośbę każdej nocy przejeżdżała koło mnie. Ani monitoring, który zamówiłam, nim się przeniosłam po eksmisji na to odludzie. Nieco uspokoiłam się dopiero we wrześniu, kiedy udało nam się zainteresować sprawą Joli prokuratora Andrzeja Seremeta i zabrano dochodzenie z Mokotowa. A to przecież i tak nic nie dało. Byliśmy i nadal jesteśmy wściekli. I zdumieni. Jolka z nas wszystkich była najinteligentniejsza. Jak ona się dała osaczyć, że wyszła z nimi? Komu ona zaufała na tyle, żeby wpuścić do mieszkania? Nikt z nas nie zazna spokoju, póki nie zostanie wyjaśnione, co i dlaczego wydarzyło się 1 marca 2011 roku.

– Próbowaliście zainteresować swoimi sprawami konkretnych polityków?

– Chodziliśmy do Andrzeja Czumy, najczęściej rozmawiał z nami jego syn. Z kolei dzięki Julii Piterze otrzymałam kilka ważnych dokumentów, łącznie z tymi o przedwojennym długu. Nie chcę oskarżać nikogo – nikt nam nie mógł pomóc. Napisałam kiedyś do Komendanta Głównego Policji, aby zbadano, czy w sprawach reprivatyzacji istnieje zorganizowana grupa przestępcza. On wyznaczył dwóch ludzi do kontaktów ze mną. I

nic się nie wydarzyło. Uważam, że nad Massalskim, Mossakowskim i Ćwiekiem był potężny parasol ochronny. Z tego, co wiem, Mossakowskiego zaczęli prześwietlać na rok przed morderstwem Jolanty Brzeskiej. Od 2010 roku nie znaleźli niczego nagannego w działalności tego pana?

– Czy zwróciła się do was przez te lata jakakolwiek instytucja publiczna, na zasadzie: widzimy, że dzieje się coś złego, więc ciekawi nas, co o tym sądzicie?

– Bodaj w 2009 roku, wedle mojej wiedzy jedyny raz, przyszło do nas trzech posłów i rozmawiali z nami. Nie pamiętam, jaką opcję reprezentowali. Próbowaliśmy – bezskutecznie – zainteresować sprawą Helsińską Fundację Praw Człowieka. Nawet byłyśmy tam z Jolą razem, składałyśmy pisma, nigdy nie otrzymałyśmy odpowiedzi. Kiedyś wyszłam od nich, płacząc, miesiąc po morderstwie Joli. Wtedy prokuratura upierała się, że to było samobójstwo. Poszłam do Fundacji zapytać, czy jest jakaś możliwość, żeby wystąpić do Interpolu, do kogokolwiek, żeby to dochodzenie było prowadzone prawidłowo. Rozmawiałam z kimś – nie był to Adam Bodnar – kto mi powiedział, że skoro policja twierdzi, że to było samobójstwo, to nie ma możliwości prawnych, aby podważać wiarygodność naszych stróżów prawa. W tym pomieszczeniu siedziała też jakaś dziewczyna, która знаła sprawę i wzięła moją stronę... Wyszłam stamtąd, strasznie rycząc, bo przecież wierzyłam, że musi być na świecie jakaś sprawiedliwość.

– Mało rozmawialiśmy o Pani sprawie.

– W skrócie? Oni chcą mi zabrać wszystko, co się da, a ja złośliwie i uporczywie nie chcę im oddać. A dlaczego na mnie trafiło? Nie wiem. Mogło trafić na Pana mamę albo babcię.

– Dziękuję za rozmowę.

Z Ewą Andruszkiewicz rozmawiał Krzysztof Wołodźko

Źródło: NowyObywatel.pl